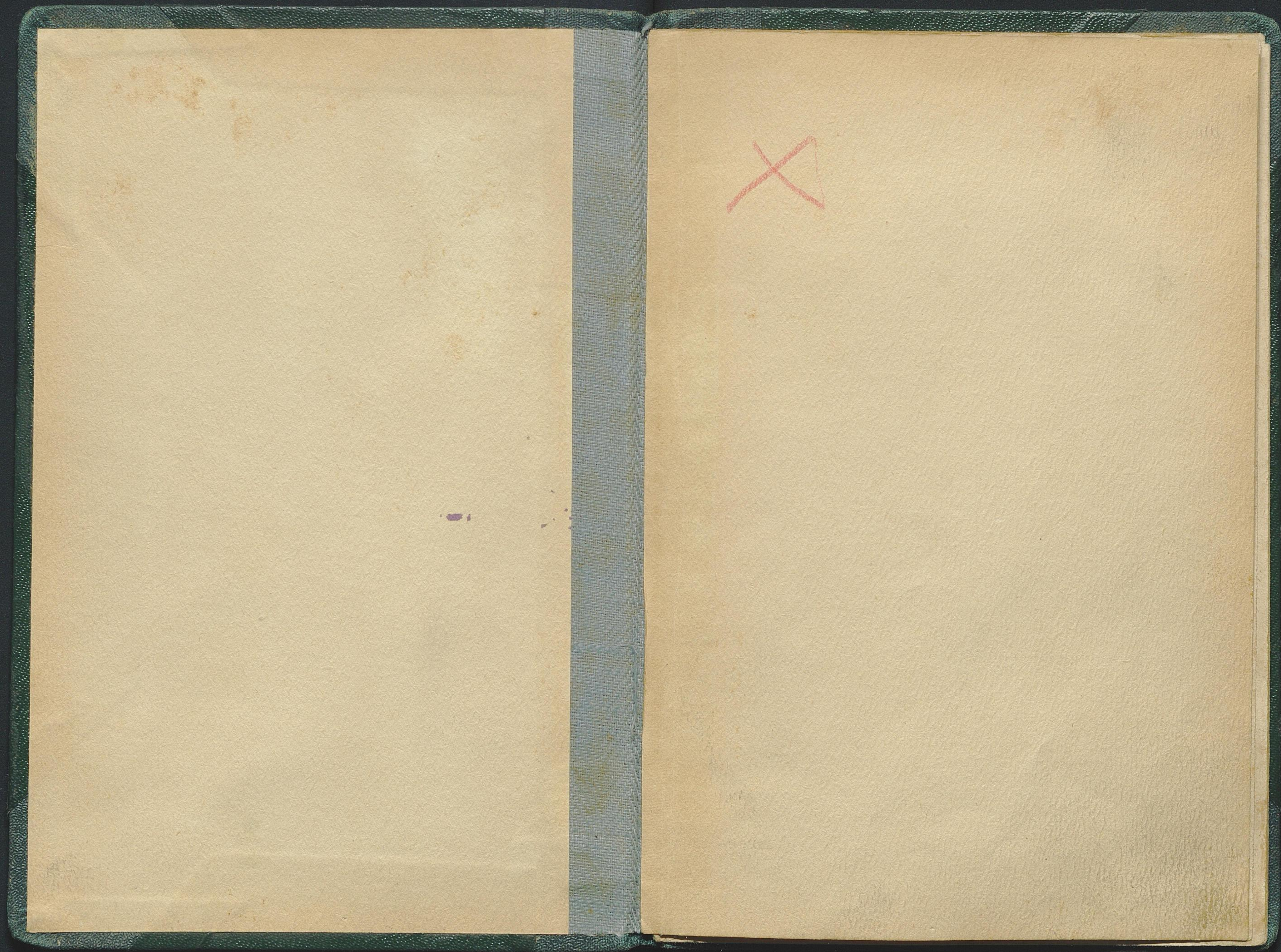


150



088



✓ 5
PIOTR CHOYNOWSKI

POKUSA



824-3M.2



74

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
PARYŻ — POZNAN — WILNO — ZAKOPANE

ich
do
ści
iek
icy
sy-
zed
ny
le-
niji,
nic
am
vej
m,
vej
lo-
ole
io-
co-
k-
dy
u-
cji
jej



SKŁADY GŁÓWNE:

«THE POLISH BOOK IMPORTING CO., INC.» NEW YORK
«KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.» KATOWICE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

W kwiecie lat męskich — znaczy, mając ich przeszło jedenaście — uczęszczałem pracowicie do drugiej klasy szkoły realnej. Tej właśnie dojrzałości wieku najpewniej przypisać wypadnie, iż, jakkolwiek «uczęszczanie» owo odbywało się na samej granicy Azji, ja, urodzony Królewiatek, nic niezwykłego w sytuacji mojej nie dostrzegałem. Ot, poprostu przed trzema laty przesłano mnie tutaj, jako nierozumny pakiet pocztowy, wprost do wuja, powiatowego lekarza w tej właśnie południowo-wschodniej gubernji, że to niby «rozwinie się chłopak na powietrzu» i «nic to nie kosztuje», co najważniejsza zaś — «do szkół tam łatwiej, niż u nas». Rzeczywiście, powietrza w owej gubernji więcej było, niż w Belgji i Holandji razem, a szkoły o haniebnej wprost łatwości. Że jednak w owej wujowskiej rezydencji powiatowej za ostateczny i dostateczny przybytek wiedzy uznano 4-klasową szkołę techniczną, we właściwym więc czasie ciotka odwiozła mnie do odległego o 200 wiorst jazdy końmi i koleją gimnazjum gubernjalnego i, po niezwykłych sukcesach egzaminowych (które i tak policzone zostały na dobro nie moje, lecz importowanej z Polski nauczycielki, panny Natalji), umieściwszy na stacji u wdowy po majorze, Kławdji Pawłowny i dwu jej

dorastających córek, Tani i Mani, pogroziła mi na nosie mówiąc: «Pamiętaj, smarkaczu, ucz się».

I koniec. Tak właśnie i tylko tak wyglądała w moich oczach własna historia. Nie dziwiło mnie bowiem wcale, iż w całym mieście gubernjalnym istniała jedna jedyna rodzina polska, której, jako poleconej mi gorąco przez ciotkę, unikałem starannie; nie zdumiewało mnie również, że narówni z Anglikiem, Wilfordem (którego ojciec budował jakąś tam kolej w gubernji), i grubym Niemcem, Kellerem, uważany byłem w całej szkole za przedstawiciela niezwyklej, egzotycznej¹⁾ nacji²⁾, podczas gdy kilku 20-letnich Kirgizów, a moich kolegów, uważano za zwykłych tubylców; uznałem za naturalne, iż jeden z tych tubylców, Mehmet Chan, drapnął którejs nocy z internatu³⁾ na skradzionym koniu, za co wykreślono go sromotnie z liczby uczniów; bez zdumienia w sercu jeździłem do szkoły na łyżwach po ulicach miasta, gdy po październikowych ulewach chwyciły nagle mrozy stepowe.

Nie dziwiło mnie wtedy zgoła nic. Kwitłem i «uczęszczałem». Jeżeli kiedy stawiała mi w oczach ostatnia pożegnalna scena w Warszawie na dworcu, owe gorące łzy matczyne i powtarzane przez wszystkie ciotki, stryjenki, kuzynki, a najwięcej przez babkę-kanoniczkę napomnienie: «Pamiętaj, żeś Polak», to specjalnie podczas bójek szkolnych, gdym podtrzymywał w klasie opinię polskiego męstwa. Ba!

¹⁾ Zagranicznej, cudzoziemskiej.

²⁾ Nacja (łac.) — narodowość.

³⁾ Internat — zakład, w którym uczniowie stale mieszkają.

niedarmo importowana z Polski panna Natalja wpajała mi tradycje Orszy i Kirchholmu! Walczyłem jak lew. Umiałem i krew z nosa puścić, i «dać» w miękkie «pod sercem» miejsce; nigdy, nawet powalonemu, nie wyrwało mi się hańbiące słowo poddania; parłem się do bitki tak zażarcie, że nawet mój surowy sąsiad, pierwszy asinus¹⁾ i pierwszy zabijaka klasy, dłubiąc koło wąsów, zdobywał się czasem na pochwałę: «Nieźle, Lach sierdityj²⁾, tylko siły mało». Jako «sierdityj Lach» znany byłem całej szkole, uczniom i nauczycielom, i nazwa ta stanowiła mój tytuł do chluby. Zresztą zbierałem marki, czytywałem romanse i za cukierki nosiłem dla Tani i Mani «billets doux³⁾» od drabów z siódmej klasy. Na święta i wakacje brano mnie oczywiście do domu, ku mej olbrzymiej radości.

Trwała ta idylla jakoś z półtora roku. Naraz, coś po Bożem Narodzeniu, spadły na mnie odrazu dwie poważne klęski życiowe: zakochałem się nieszczęśliwie w siostrze kolegi, fertycznej Lizie z czwartej klasy, na stancję zaś przyjechał kuzyn domu, wspinały rotmistrz ułanów. Z miłością jeszcze dawałem sobie radę, ale z rotmistrzem szło jak z kamienia. I to zaraz od pierwszego dnia. Wąsaty ułan, rozwalony na kanapie, z gitarą w łapach jak grabie, indygował⁴⁾ mnie chytrze, mrugając na kuzynki z pod oka:

— Te! Chodźno tutaj. Cóżto? Mówią, żeś ty «sierdityj Lach?» He?

— Ano tak. Jestem — mówię z dumą.

¹⁾ Asinus (łac.) — osiel.

²⁾ Sierdityj (ros.) — gniewliwy, zadzierzysty.

³⁾ Billets doux (franc.) — liściki miłosne.

⁴⁾ Badał, dopytywał.

— Patrzcie-no państwo! Skądżeś ty Lach? Przecie Lachów niema.

— Jakto, niema? Są.

— Niema. «Byli, byli, póki Warszawy nie przegapili». Wiesz?

Żeby tak w szkole, dałbym odrazu w miękkie «pod sercem» miejsce, trudno jednak wojować z dorosłym. Wyszedłem więc, wzruszywszy ramionami. Ale «przegapioną Warszawą» zgryzłem się jak pies.

Cóż dopiero, gdy nazajutrz, ledwie siadł do obiadu, ten znowu swoje:

— No, zgadzasz się teraz, żeś Rosjanin? Co?

— Co się mam zgadzać — odparłem chmurnie — Polak jestem.

— Patrzcie, jakiś ty uparty! Mówiliśmy przecież wczoraj, że i Warszawa teraz rosyjska.

Zagotowało się we mnie z wściekłości. Udałem jednak zuchwałą obojętność.

— Phi! Choćby teraz i rosyjska, a będzie znowu nasza.

— Co ty bredzisz! Jakże tak?

— A tak.

— Jak? Głupiś, bębnie! Cóżto, siłą odbierzecie?

— Odbierzemy.

Wzniosły ułan aż łyżkę odłożył z irytacji i zdumienia.

— Uważaj, co gadasz? Kto odbierze? Ty, smarkaczu?!

— Choćby i ja.

— A wiesz ty, że to bunt! Że za takie rzeczy śmierć?!

— Phi! Bunt to bunt, a odbierzemy.

Ułana poderwało. Odsunawszy krzesło z hukiem, jał mi wygrażać przed nosem sękatymi palcami:

— Ty mnie, oficerowi gwardji, takich bredni pleść się nie waź! Rozumiesz, głupcze!!

I wyszedł z okropnym brękiem ostróg ku przerażeniu Kławdji Pawłowny oraz córek jej, Tani i Mani.

Niestety, było to moje jedyne, iście Pyrrusowe zwycięstwo¹⁾. Ułan zmienił taktykę zasadniczo. Miast ataków frontowych, zaczęła się odtąd pika, szpilowanie nieustanne i bolesne, szydercze półuśmiechy, aluzje²⁾ odległe a zawsze ostro w Polskę i Polaków godzące. Nie odpowiadałem na to nic, bom nie umiał; budził się we mnie tylko żal do narodu, którego bronić tak trudno, a równocześnie wściekła osobista do ułana nienawiść. Najgorzej jednak bywało, gdy wjeżdżała na scenę wyrozumiałość i szczere pragnienie prostowania dziecinnych zaślepionych błędów. Prawił mi więc rotmistrz szeroko o polskich rządach, o jezuitach i gnębieniu Rusi, jak mu to ongi w korpusie³⁾ w rycerski łeb włóczono; tłumaczył, że naród bez wojska to banda cywilów,

¹⁾ Pyrrus, król Epiru (III w. przed N. Chr.), słynny ze swych wypraw przeciw Rzymowi; zwyciężył Rzymian pod Herakleą (280 r. przed Chr.) i pod Asculum (279). Ostatnie zwycięstwo kosztowało go tyle ofiar, że na powinszowania swych wodzów odrzekł: «Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a będę zgubiony». Słowa Pyrrusa służą do określenia powodzenia, które przyszło komuś z wielkim wysiłkiem i którego skutki są bardzo wątpliwe.

²⁾ Aluzja — przytyk, przymówka, napomknienie.

³⁾ Korpus — szkoła wojskowa.

którą «jego mołojcy» na szablach rozniosą; pomału, zdaleka, wolno i ostrożnie, dochodziło się do sławetnej piosenki: «A powstańcy kochajoncy udirajut¹⁾ kak²⁾ zajoncy!» Próżne były moje ze łzami w oczach twierdzenia, że dziad mój w żuawach pod Miechowem zginął, nie uciekł; że pradziad pod Olszynką dwa razy kompanję wiódł do ataku, że któryś z przodków z Sapiehą pod Moskwę chadzał... Szydercza odpowiedź brzmiała zawsze jednako: pułk dragonów ma tyle i tyle szabel, pułk piechoty — tyle karabinów, do brygady należy tyle i tyle dział. A zresztą, czyż mi to w Rosji źle? Czy mi się tu jaka krzywda dzieje? Czy wuj na państwowym urzędzie nie służy carowi «wiarą i prawdą?» «Prawda» myślałem: «przed twoim przyjazdem wcale mi tu było dobrze». Gdym kiedyś wreszcie, w ogniu dyskusji³⁾ wydobył własnem zdaniem najmocniejszy, w pierwszym jeszcze dzieciństwie w serce mi zapadły argument, jak to chłopiec jakiś, Polak, dostał w Warszawie na ratuszu różgi za to tylko, że w Saskim ogrodzie sprął na kwaśne jabłko jeneralskiego synka⁴⁾ — zdawało się, że mój rotmistrz pęknie ze śmiechu.

Wstał z kanapy, odrzucił gitarę i z radości aż się za boki trzymał.

¹⁾ Udirajut (ros.) — uciekają.

²⁾ Jak.

³⁾ Rozmowy, sprzeczki.

⁴⁾ Podobny fakt zaszedł w Warszawie około r. 1887. Pasięb jednego z cukierników warszawskich, 12-letni chłopiec ułomny, nieostrożnie uderzył piłką córkę znanego generała rosyjskiego. Ojciec, wezwany z synem do ratusza, zmuszony został do oświczenia chłopca w obecności policji, przyczem zemdlął zarówno ojciec, jak i syn (przyp. wyd.).

— Bój się Boga, chłopaku! Któż ci to znowu nagadał?

— Niania moja, Janowa. Widziała na własne oczy — broniłem się z przejęciem.

— Jego niania... Patrzcie-no! Sama widziała, mówisz? Na ratuszu różgi... Trzymajcie mnie!

— Niema się czego śmiać, kiedy prawda — nadrabiałem surową powagą.

— Wstydz się! To ty babom wierzysz? Mężczyzna — i babskie plotki, wstyd!

— Kiedy prawda...

— Głupstwo. A ty sam, Lach sierdityj, małoś tu w szkole Rosjan naprał? Gadaj!

— Tu co innego, a w Warszawie...

— Nie kręć, gadaj! Prałeś tu Rosjan?

— Prałem — zgodziłem się ponuro.

— A różgi dostałeś? Na ratuszu, co? Ech, ty głuptasie!

Autorytet¹⁾ Janowej popekał od tego śmiechu. A może Janowa kłamie? Nieraz przecież zamiast na spacer prowadziła mnie po kościołach, surowo nakazując kłamać o tem przed mamą. A zresztą: pułk konnicy ma tyle i tyle szabel, pułk piechoty — tyle karabinów... Może naprawdę powstanie nie jest już możliwe? Ech, małemu chłopcu niełatwo bronić całego narodu! Nie to, żebym się wahał, żebym coś ze swej polskości ustąpił, ale przemyślałem już «o porywaniu się z motyką na słońce» i solennie postanowiłem unikać dysput politycznych. Gryzła mnie też myśl, że nawet gdy dorosnę, nie będę mógł ożenić się z piękną Lizą, bobym miał dzieci prawo-

¹⁾ Powaga.

sławne. Przytem nie zwracała na mnie żadnej uwagi. Łaziłem więc jak struty, bez humoru i apetytu, z ponurą łagodnością znosząc kpiny rotmistrza oraz Tani i Mani, natrzęsających się z mej nieszczęśliwej miłości.

Około Wielkiej Nocy położenie stało się wprost nieznosne. To też pierwszego dnia feryj, ujrawszy wchodzącego we wrota wujowskiego furmana, starego Tatara, Muzłę, rzuciłem mu się na szyję w samym środku podwórza, nie bacząc ani na własną godność, ani na jego ośnieżony kożuch. Jak anielskie chóry brzmiał mi w uszach radosny a chropowaty głos pocziwego Muzły:

— Jedziem, paniczu!

Boże, jak świetnie jest dzieciom w domu, wśród swoich! Własne, ciepłutkie, a świeżością aż pachnące łóżko, obok zapobiegliwą ręką ułożone na krześle ubranko, dalej stół, stary dziecinny znajomy, świadek zabaw i prac, z pościnnanymi scyzorykiem kantami, olbrzymia szafa, co skrzypi, jakby się dziwiła, duże a srodze nadbite lustro «dla chłopców» i śmiesznie wesole, figlarny pas porannego słońca. Wyspane oczy otwarły się szeroko i chętnie. W drugim kącie śpi mały kuzyn, Wicek. Śpi jeszcze: ułożył się nawznak, jedną rękę odrzucił wysoko na poduszki i ze skupioną twarzą gwiżdże przez zakątarzoną dziurkę od nosa (pół dnia stawiał wczoraj mosty na kałużach). Zabawny Wicek! Z jadalni dochodzi brzęk filiżanek. I naraz budzi się dziki, radosny głód. Jej! co tam dobrych rzeczy na stole! co tam specjałów! Skacze się z łóżka na równe nogi, i pierwsza rzecz, z samej radosnej energji, buch! jaśkiem w łeb

śpiącego Wicka! Potem dopiero, wysunawszy rozczochraną głowę, a kryjąc wstydliwie cienkie piśczcele, wrzeszczy się na cały dom gniewnym, jak najgrubszym, «dorosłym» głosem:

— Nastka, wody!

Uśmiecha się przystojna pokojówka Nastazja, uśmiecha się ciotka, uśmiecha się wuj, uśmiecha się panna Natalja, z Polski importowana nauczycielka. Cenzurę miałem jak złoto: czekały mnie same rozkosze. Wuj, stwierdziwszy w mym dzienniku, że «piątka piątkę goni», traktował mnie z jakimś szacunkiem: miałem wolny wstęp nawet do stajni, a co rano w wielkiej pysze zajeżdżałem z Muzłą przed ganek towarzyszyć wujowi na wizyty, podczas gdy Wicek «gnił» w domu za karę, iż u niego, wedle wyrażenia ojca, a skutkiem znęcań się panny Natalji, «pała pałę pobija». Zaczyna nauczycielka, dla której stałem się żywym świadectwem wychowawczych talentów, próbowała z początku wciągnąć mnie w dyskusję o tematach «wyższych», literackich i narodowych, lecz z powodzeniem mizernem; w przewidywaniu podstępu i pedagogicznych figłów robiłem zgóry minę przegłupią, kiwając się przytem na krześle jak stary Chińczyk, czego — wiedziałem — cierpieć nie mogła. To też po pięciu minutach wylatywałem z pokoju jak z procy, ku szczeremu żalowi kuzynki Zosi, którą brano zkolei na tortury: czytały wówczas te panie «Pawła i Wirginję»¹⁾, oraz urywki z Chateaubrianda²⁾. Starsza

¹⁾ «Paweł i Wirginja», słynna powieść autora francuskiego, Bernardin de Saint Pierre'a (1737 — 1814).

²⁾ Chateaubriand (1768 — 1848), znakomity pisarz fran-

o dwa lata, a już pełna pretensji kuzynka Zosia spoglądała na mnie okiem niepewnym. Ujrzawszy dawnego «niežnośnego smyka» w mundurze i długich spodniach, zmiękła widocznie; gdym zaś bąknął coś z dumą o pięknej Lizie i nieszczęśliwej miłości, przejęła się tą sprawą żarliwie i nad me własne spodziewanie. Na samym, coprawda, wstępie padły z jej warg pogardliwe słowa, że wogóle w miłość nie wierzy; dalej jednak rozwinęła taką ścisłość, taką dokładność badań: «a jak?», «a co?», żem znalazł się w prawdziwym kłopotcie. W mojej miłości bowiem nie działało się właściwie nic. W rzeczywistości na widok fertycznej Lizy natychmiast dostawałem klusek w ustach i z biciem serca umykałem, gdzie pieprz rośnie, byle, broń Boże, słowa do niej nie pisnąć; tu jednak, wobec Zosi, rozpaczliwie czerpiąc w przeczytanych romansach, prowadziłem z nią ożywione i długie konwersacje na temat ogólny: — «ona mi to, a ja jej na to». Wkrótce też ustaliła się rzadka z kuzynką konfidencja¹⁾. Ku zdumieniu ciotki, pełno nas było po wszystkich kątach, szepeczących tajemne zwierzenia. Głowa pękała mi z nateżenia, gdym zaczynał swoje: «No, i na drugi dzień...», alem brnął z honorem i odwagą.

Świetnie mi było! Nawet surowa, a stale za krajem stęskniona ciotka, przed którą i wuj czuł respekt nielada, była w humorze, że choć do rany przyłożył. Wśród szynek, placków i bab — symbolu «polskiej» Wielkiej Nocy — których ciotka dotknąć

cuski, autor rozprawy p. t. «Genjusz chrześcijaństwa», rozgłosnych powieści: «Atala», «René» i in.

¹⁾ Zażyłość, poufałość.

nie dała kucharce Agafji, że Moskiewka, codzień odczytywano z nabożeństwem nadeszłe z kraju, «od nas», listy. Podczas ulubionej szarej godziny, godziny nostalgji¹⁾, zamiast smętnej «Kaliny z liściem szerokim» i «Lecą liście z drzewa», dolatywały z saloniku wygrywane przez ciotkę oberki i kujawiaki. Wieczorem, zgromadzeni przy jednym stole, słuchaliśmy naprzemian «Pana Tadeusza» i wydanego w tym czasie «Potopu». Cudne to były czasy!

Trzeba jeszcze szczęścia, że w Wielką Środę zbudził nas, chłopców, dziki hałas piszczałek i trąb na ulicy. Rozumie się, że rzuciliśmy się do okien w koszulach, drąc się na całe gardło:

— Ciociu! Mamusiu! Wojsko!

Stercząc przy oknie z nosami przylepionemi do szyb, poznaliśmy odrazu kiwającego ku nam «wzwodnego»²⁾ Frąckiewicza i dragona Czapłę. Cóż to był za wrzask! co za uciecha! Uradowana ciotka pchnęła zaraz pokojówkę Nastkę do rotmistrza z prośbą o przybycie na obiad w święta i o zwolnienie do nas na kwaterę wszystkich katolików. Taki już sobie wujostwo ustalili zwyczaj w owej «odległej» gubernji: zwyczaj wyławiania polskich rekrutów podczas przemarszów konsystujących³⁾ tam wojsk, choćby na kilka dni czy godzin kilka, wedle militarnych⁴⁾ możliwości. I wyznać trzeba, że siaki taki wojak z Wólki czy Pacanowa, siedząc nad kopiastą rynienką bigosu z tłustością i jednym tylko

¹⁾ Tęsknicy.

²⁾ Wzwodnyj (ros.) — plutonowy.

³⁾ Konsystować — mieć postój, kwaterę.

⁴⁾ Militarny — wojskowy.

uchem słuchając ciotczyńskich patriotycznych napomnień, srodze sobie przecież ów zwyczaj chwalił. Kwitła też sława gościnnego domu po wszystkich wschodnio - europejskich i zachodnio - azjatyckich pułkach. Zdarzało się nieraz, że zupełnie nieznany rycerzyk polski w drodze na urlop zbaczał ku temu domowi po polskie dobre słowo i parę rubli na daleką podróż; trafiał się czasem jakiś Niemiec - katolik, a raz nawet jakiś jarosławski Moskal — opój i naciągacz... Nie było przecież nad Frąckiewicza i Czapłę z onego szwadronu. Przejeżdżali przez powiat parę razy do roku, i warszawiak Frąckiewicz odrazu na rozczapierzonych palcach wskazywał, na ile dni dałby się do nas zaprosić.

Nam, dzieciarni, imponowali ci żołnierze w sposób niesłychany. Jużemy z Wickiem na rogu przecznicy z bijącym sercem oczekiwali rozflirtowanej¹⁾ z Frąckiewiczem Nastki, a człapiący za nimi o parę kroków poczciwy parobczak Czapla z oddali odpasywał już, z uśmiechem ku nam głową kiwając, ciężką dragonską szablą, by oddać ją w nasze niecierpliwe dłonie. Poczem brał nas kolejno w grube parobczyńskie ręce i szurał długo po policzkach niegoloną brodą.

Zacny Czapla! On zawsze po starodawnemu podejmował ciotkę pod kolana na powitanie, podczas gdy elegant Frąckiewicz szarmancko tylko «o rączkę upraszał», chytrym zezem odrazu ku stołowi i Nastce łypiąc. I zaraz ruch się w domu czynił i zdwajała

¹⁾ Flirtować (ang.) — kokietować, uprawiać żartobliwą zalotność.

nasza dziecińska radość. Bo Czapla, ledwie od stołu wstawszy, szedł zaraz do stajni na srogą inspekcję¹⁾, rzeczowemi uwagami w poty starego Muzłę wpędzając; sprytny Frąckiewicz siedział w tym czasie gdzieś na drabinie pod sufitem, przy portjerach czy elektrycznych dzwonkach i, przymrużywszy jedno oko, rzucał nam zgóry niedbałą obietnicę wyszykowania na jutro takich łuków i strzał, że «trzech Kirgizów na durch²⁾ przestrzeli». Aż mi serce do tych łuków rosło! A gdy wieczorem wszystko zasiadało do stołu przy ogromnej wiszącej lampie, ja obok nieśmiałego Czapli, co się wiecznie ostrogami w dywanie plątał, i gdy wuj przypijał wedle rangi najpierw do Frąckiewicza, a potem szły niezawodnie jakieś wojskowe sprawy i opowieści, zdawało mi się, że już na całym świecie nikomu być lepiej nie może.

Trzeba szczęścia, żeby samemu sobie taką idyllę zepsuć!

Było to chyba w sam Wielki Piątek. Zwiedziawszy się od Wicka, że ciotka piecze mazurki i że on uszczknął przy tej okazji garść słodkich migdałów, którymi się nie podzieli «za nic», poszedłem i ja do kuchni na zwiady i po łatwą zdobycz. Zachowanie moje było, rozumie się, niedbałe i bezinteresowne. Z rękoma w kieszeniach włóczyłem się koło wścieklej Agafji i kołowatej z przejęcia Nastki, zgóry upatrzwszy pięknie rozłożone, obrane już rodzynki. Niestety, akurat obok ciotka lukrowała właśnie piękny mazurek czekoladowy. Udając chłodną obojętność, z wyciągniętą za plecami ku rodzinom ręką,

¹⁾ Inspekcja (łac.) — kontrola, przegląd.

²⁾ Nawylot.

wpatrywałem się baraniami oczyma w strugę białego lukru, którym ciotka wypisywała na czekoladowej powierzchni: «Alle..lu..ja!» I nagle, przeczytawszy ten napis, zapomniałem o rodzynkach i wysuniętej dłoni. Stało mi przed oczyma świąteczne przyjęcie, goście, ci wszyscy miljonerzy w kupiec-kich «kaftanach», zapici dygnitarze, nieokrzesane małżonki, wszyscy ci «honoratiores»¹⁾ miejscowi, z którymi trzeba było utrzymywać stosunki; słyszałem ich coroczne ciekawe pytanie, co znaczy to «alleluja» i coroczne głupie na ów temat zdumienia i konwersacje; przypomniał mi się mój rotmistrz na stacji i cała długa zimowa mordega. Mimowoli prawie pociągnąłem ciotkę za rękaw:

- Ciociu! Poco ciocia to pisze?
- Co takiego? Czego chcesz?
- Poco ciocia pisze «alleluja?»
- Zawsze się tak pisze. Nie przeszkadzaj!
- Znowu będą pytać, gadać...
- Więc będą, no i co? Nie nudź!
- Kiedy można inaczej...
- Jak tam znowu? Czego chcesz?
- Zwyczajnie po rosyjsku: Alliluja.

Ciotka usadziła na floresach lukrowego kleksa i przerwała pisanie. Patrząc mi prosto w oczy, spytała krótko:

- Jak? Powtórz.

Aż mi się zimno zrobiło pod tym wzrokiem. Powtórzyłem przecież splątany językiem:

— Po rosyjsku — alliluja. Przecież to samo znaczy.

¹⁾ Znakomitości.

Twarz ciotki poczerwieniała nagle, jak ukropem zlana. Spuściwszy przerażone oczy, usłyszałem suchy, zdławiony wyrok:

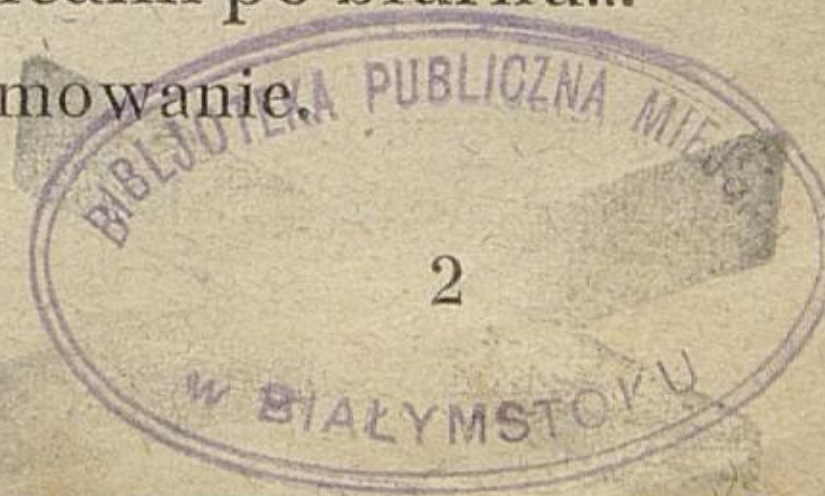
— Idź precz, głupcze! I nie pokazuj mi się na oczy! Wyszedłem. I od tej chwili skończyła się moja radość.

Z początku nie orjentowałem się nawet co do wagi mego przestępstwa: gwiżdżąc, z rękoma w kieszeniach, skakałem przez wszystkie przed domem kałuże, pieszcząc lekkomyślną w sercu nadzieję, że się ciotka jakoś przeprosi. Któż bo wreszcie miał rację? Czyż «alliluja» nie znaczy «alleluja?» Czyż nie rozsądniej wypisać odrazu «alliluja», niż każdemu zkolei na rosyjskie tłumaczyć? Argumenty¹⁾ te napełniły mnie takim spokojem, że wlaższy na dach parterowej kuchni, przez godzinę bombardowałem stamtąd brytana w sąsiednim podwórzu, który aż ochrypł w bezsilnej wściekłości.

Dopiero gdy Nastka podała mi obiad oddzielnie, w dziecinnym — zmiarkowałem, że źle. A potem doszły mnie echa ożywionej w gabinecie narady: słyszałem podniesione głosy ciotki i panny Natalji, oraz nieśmiałe wujowskie protesty: «Ależ bo, Helciu, przesada... Tak odrazu, za byle co...» I ostatni, ostry i surowy wyrzut ciocizny: «Dla ciebie byle spokój, ty byś zawsze ustąpił. Nie wiem, czy wogóle o powrocie myślisz...» U... źle! Gdym się ostrożnie, pod ścianą, ku drzwiom wyjściowym przesunął, ciotka nie spojrzała nawet na mnie, panna Natalja odwróciła się z ostentacją²⁾, a wuj szybko bębnił palcami po biurku...

¹⁾ Argument (łac.) — dowód, rozumowanie.

²⁾ Z ostentacją — uroczyście.



Żle! Byłem odtąd jak wygnany z ludzkiej społeczności. Nikt mnie w domu nie widział, nikt nic do mnie nie mówił. Gdym kiedyś w korytarzu podszedł do konfidentki Zosi, odsuwała się szybko, szepnąwszy ledwie bokiem warg: «Mama nie każe...» Jadałem zawsze sam, i usługująca Nastka robiła miny chłodne i obojętne. Wieczorem, słysząc wesół gwar przy stole pod wiszącą lampą, musiałem czytać samotnie dawno przeczytane książki. Zagadnięty o obiecany łuk Frąckiewicz, gwizdząc, patrzył długo w okno kuchni ponad moją głowę, poczem rzucił niedbale, że teraz święta i grzech łuki robić, a zresztą «panicz sam wie». I odszedł, pogardliwie dzwoniąc ostrogami. Grubawy Wicek patrzył na mnie z milczącą zgrozą. Jeden jedyny Czapla nie zmienił się w stosunku do mnie wcale. On nosił mi ciotczyne rozkazy, on w pierwszy dzień świąt wprowadził mnie na wspólne rodzinne pacierze, mające brak kościoła zastąpić, on zresztą szepnął mi potem: «A do gości to ma panicz nie wychodzić». I znowu w ten długi, świąteczny dzień byłem sam. Włóczyłem się, jak senna mucha, byle najdalej od ludzi, byle nie wpaść pod niczyje cofające się, jak lód zimne spojrzenie. Strasznie było mi ciężko i źle.

Najwięcej przesiadywałem w stajni. Gdy jednak pod wieczór w pierwsze święto niezgorzej już napity Muzła począł również mlaskać po tatarsku i, kiwając głową z wyrzutem, pleść kołowatym językiem: «Aj, aj, panicz! niedobrze...» — ogarnęła mnie dzika wściekłość. Bo co ten stary idjota wie! Co rozumie?! Czego się wtrąca?! Zatrzasnąwszy wrota, wyszedłem z taką goryczą, jakbym się piołunu napił.

«Kiedy wy tak» — myślałem zawzięcie — «to i ja pokażę, co umiem». Zaraz na drugi dzień rano, gdy na zadane pytanie Nastka odpowiedziała mi tylko chłodnem spojrzeniem, skuksałem ją, co się zmieści, uciekającej jeszcze ciskając na głowę szczotki, książki i pudełka. Pół godziny czekałem na awanturę. Nic. Nikt nie pisnął... Wówczas z premedytacją¹⁾ rozlałem po podłodze atrament i wyszedłem, gwizdząc na cały dom, ubrany w najpiękniejszy mundur, choć jak z cebra lał szczery deszcz wiosenny. Zaszarganego, jak nieboskie stworzenie, ledwie pod wieczór namówił do powrotu poczciwy Czapla, udzieliwszy mi skutecznej pomocy w walce z ulicznikami, z którymi pobiłem się do krwi. I znowu nic. Żadnej kary, żadnych napomnień. Przebrany przez milczącą Nastkę, w oczach przerażonej Zośki odkrajałem sobie z całym cynizmem kawał przygotowanego dla gości placka. Anim na Zośkę spojrzeć raczył. W gabinecie wypadła mi droga obok stojącego przy biurku wuja. Nic. Z męstwem gryzłem placek dalej, sypiąc okruszyny na kosztowny dywan. I nagle, gdym wuja mijał właśnie, uczułem na włosach i na twarzy szorstkie choć pieszczotliwe muśnięcia. Nie rzekł wuj ani słowa. Choć nie widziałem, przysiągłbym, że się ogłądał, czy ciotka nie widzi. I jam nic nie powiedział. Ale od tego pogłaskania stopniało we mnie serce, jak воск. Siedziałem u siebie pociemku, i grube łyzy sypały mi się na łapczywie pożerany placek.

¹⁾ Premedytacja — obmyślanie czego naprzód, układanie planu działania ze spokojnym rozmysłem.

Na tem się mój bunt skończył. «Niema, widać, co» — myślałem — «trudno!» Pogodziłem się z sytuacją¹⁾ i usiłowałem żyć samotnie. O przyczynie mej niełaski zapomniałem już prawie, uznawszy ją wewnętrznie za drobiazg, czyli, jak mówiłem — «głupstwo». Został mi tylko żal do ciotki. Przestawałem dużo z Czaplą, który nietylko sam zrobił obiecany przez Frąckiewicza łuk, ale co rano naszał mi różne przysmaki «ze stołu» z prośbą, bym przecie nie pogardził. Nie gardziłem, broń Boże! Siedząc w stajni na wyrku²⁾, konwersowaliśmy³⁾ długo i uprzejmie o końskich wadach i zaletach, o wojskowem życiu i tematach religijnych, na które Czapla był łasy, jak na mazurki. Przeczytałem mu wtedy całą Historję świętą księdza Putiatyckiego. Słuchał z nabożeństwem, mało co, jakem miarkował, rozumiejąc. Skarżył się z głębokiem westchnieniem, że już zapomniał, jak to u nich, w Bętkowie, w parafji, organy pięknie grają, i że do cerkwi musi chodzić, co przecie nie jest prawo, tylko grzech.

Pocieszałem go, jakem umiał. Wśród gardłowych pokrzykiwań Muzły na konie, merdając zwieszonemi nogami, z serowcem w ręku, twierdziłem ze spokojem i powagą:

— To nic. I nas, uczniów, też pędzą do cerkwi, nawet nie prawosławnych. Ale tylko w galówki. Takie prawo.

¹⁾ Sytuacja (franc.) — położenie.

²⁾ Wyrek (werko, wero, wyrko) — posłanie wysoko umieszczone, tapczan z pościelą.

³⁾ Konwersować (franc.) rozmawiać.

Czapla westchnął.

— Zawsze grzech.

— Nie. Jak mus, to grzechu niema. Co innego, jakby z dobrej woli, albo żeby się ich religji uczyć...

— Jeich religji? Prawosławnej niby?

— Aha. To byłby grzech. Mnie nawet chcieli uczyć...

Czapla przeraził się.

— Panicza? Jeich religji uczyć? I takie prawo jest?

— Nie, prawa niema. Tylko chcieli i już. Woła mnie kiedyś inspektor i mówi, żebym szedł na religję z innymi, prawosławnymi. Więc ja mówię, żem katolik. A on mówi, że to wszystko jedno i że wstyd, żebym zostawał z Kirgizami, którzy są pogaanie. I żebym szedł...

— Reta! I co mu panicz pedział?

— Powiedziałem, że jak ciocia każe, to pójde. Bo wiedziałem, że ciocia nie każe i że to grzech.

Zaimponowałem biednemu Czapli śmiertelnie. A w parę godzin potem przylatuje po mnie ze złośliwą radością wytłuczona onegdaj Nastka: — «Do pani!» Zrobiło mi się niewyraźnie — brr! Nastka, atrament, mundur, placek — klaniały mi się po drodze wszystkie moje zbrodnie. Przysiękłem sobie, że zniosę wszystko z ponurem męstwem.

Ledwie wszedł do gabinetu, ciotka zawołała na mnie po imieniu:

— Chodź-no tutaj!

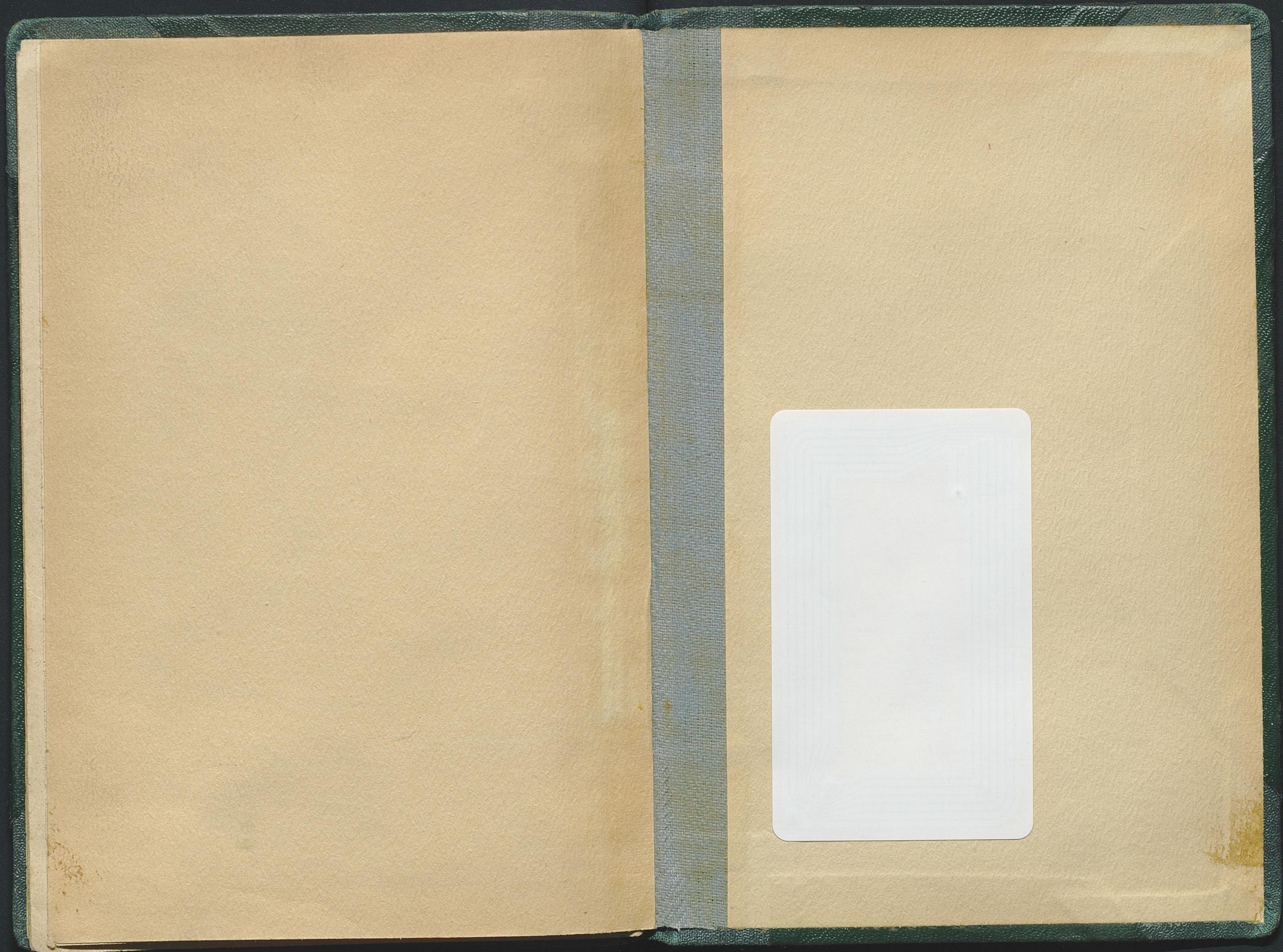
I ku memu osłupieniu, wzięła mnie, ucznia klasy drugiej, mężczyznę bitnego i ciężkiego, na kolana jak małe dziecko. Długi czas, wśród pocałunków i pie-

szczot, słyszałem tylko z ust surowej ciotki coś jakby groźbę, czy usprawiedliwienie: «Bo ja się tak o was wszystkich boję...» Ścierała przytem chusteczką nigdy u niej niewidziane łzy. A potem, siedząc obok siebie, rozmawialiśmy bardzo długo, jak rozmawiają dorośli. Usłyszałem straszne historie o takich, co własny naród zdradzili, o renegatach ¹⁾ i odstępcach. Bo śliska jest droga do upadku, i tylko twarde przy swoim stanie od niej broni. Wyszło najaw moje stancyjne życie, i rotmistrz, i przegapiona Warszawa. Wspólnie rozważaliśmy kwestję ilości karabinów w piechocie i szabel w konnicy... W rozrzewnieniu o mało nie wygadałem swego do pięknej Lizy afektu, ałem się w porę jednak ugryzł w język A wreszcie jadłem. Chcąc mi wynagrodzić stracony czas, pchano we mnie mazurki, szynki i placki w takich masach, żem pękał poprostu. Boże, co ja wtedy zjadłem!...

A w trzy miesiące potem, na inną już stancję, przysłała mi babka-kanoniczka okazynie lipskie wydanie Słowackiego. Czytałem je na uniwersytecie.

¹⁾ Renegat — odszczepieniec, człowiek, co dla korzyści materialnych wyparł się swej wiary i narodowości.





380

A

